

Małgorzata Szweykowska

część I z III

Sygnatura notacji: **N0079**

Data urodzenia: **20.04.1942 r.**

Data nagrania: **22.08.2007 r.**

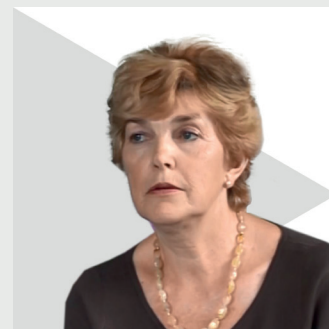
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Antoni Lech Kujawski**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 60 min, część III: 31 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Małgorzata Szweykowska: Nazywam się Małgorzata Szweykowska. Związana byłam z Gdańskiem przez 38 lat, całe swoje życie zawodowe. Ja jestem z pochodzenia Pomorzanką. Urodziłam się w Wąbrzeźnie, to jest miasto powiatowe koło Torunia. Moja rodzina jest właśnie taką rodziną pomorską. Wywodzimy jak gdyby swój ród jednak z Litwy. Takie są przekazy rodzinne. Rodzina Szóstakowskich właśnie, z której pochodzę, przybyła na tereny Pomorza, najprawdopodobniej po utracie niepodległości, gdzieś na początku XIX wieku. Moi dziadowie, pradziadowie osiedlili się w Bukowcu, to jest ziemia brodnicka. Dokładnie znamy historię naszej rodziny, od dziadka Wojciecha Szóstakowskiego, który jest takim protoplastą naszego rodu, obecnie liczącego 300 osób mieszkających w większości w Polsce, częściowo też za granicą. Mój dziad był rolnikiem, ale oprócz tego był przygotowany do tego, żeby jeszcze dorabiać ciesielką. Założyli bardzo dużą rodzinę, mieli z babcią Anastazją 11 dzieci, sześciu synów i pięć córek. Mieszkali oczywiście na wsi pomorskiej, to był ówczesny zabór niemiecki i w tej wsi mieszkało tylko czterech Polaków, a reszta to właśnie byli Niemcy. Mój dziadek zachowywał polskość, między innymi prenumerował gazety, które wychodziły wówczas, to „Pielgrzym”, „Gazetę Grudziądzką”. Zawsze najstarsze dziecko czytało dziadkowi wieczorem właśnie gazetę. W ten sposób zachowywano język, ale oprócz tego i kulturę, obyczaj, zwyczaje. Tutaj jak gdyby taką strażniczką tego życia rodzinnego była babcia, matka właśnie 11 dzieci. To ona dbała o to, żeby dzieci znały tradycję, a nawet przeszłość rodziny. Rodzice wychowywali dzieci własnym przykładem. Z tych sześciu synów, to pięciu synów moich dziadków walczyło w czasie I wojny światowej. Byli ułanami, służyli w piechocie. Jeden z wujów walczył pod Verdun. Doszło nawet do spotkania braci na jednym z frontów. Tych pięciu właśnie synów wróciło w czasie I wojny światowej bez żadnego uszczerbku na zdrowiu, co rodzice uważali za jakiś szczególny wyraz opieki nad dziećmi. Wszystkie dzieci były przygotowywane do życia w ten sposób, że wysyłano ich, aby uczyły się.

Oczywiście szkołę taką elementarną kończyły w Bukowcu. Wyróżniały się tym, że bardzo dobrze się uczyły, znakomicie znały język niemiecki. Nawet mówiono, podobno nauczyciel często wskazywał: „O, uczcie się tak i mówcie tak, jak mówią Szóstakowscy”. Potem ten język był często w sposób niezwykle pozytywny wykorzystywany w kontaktach, w różnych sytuacjach. Dziadek też był takim człowiekiem w tej wsi, który potrafił porozumiewać się z sąsiadami, z Niemcami. Często nawet proszono go o łagodzenie takich zwyczajnych, zwykłych konfliktów sąsiedzkich. Cieszył się ogromnym uznaniem, ale też angażował się nieco szerzej. Zasiadał w radzie parafialnej, był w zarządzie Banku w Kruszynie, w zarządzie rolnym. Jak na owe czasy również z miejscowym ziemiaństwem utrzymywał kontakty w czasie świąt, czy to Bożego Narodzenia, czy też Wielkanocy. Organizowano różnego rodzaju spotkania dla dzieci i w tym wszystkim właśnie był bardzo zaangażowany mój dziadek. Dlatego też jego uznanie w tej wsi było bardzo duże. Ono się później wyraziło tym, że po odzyskaniu niepodległości mój dziadek został honorowym sołtysem tej wsi. A tę tradycję zasiadania w lokalnych takich władzach samorządowych kontynuował później jego syn Maksymilian, który po nim objął to gospodarstwo. Także każdy syn był przygotowany do właśnie takiego życia samodzielnego. Oni byli rzemieślnikami. Rzeźnikami, piekarzami, cukiernictwem zajmowali się, ale nie tylko właśnie dbano o to, żeby synowie wychodzili, posiadali jakieś przygotowanie zawodowe, ale nawet córki również przysposabiano do takiego samodzielnego życia. Moja matka, która była dziesiątym dzieckiem w tej rodzinie na przykład została wysłana na kurs krawiectwa do Szkoły Warszawskiej, tak to się wtedy nazywało, gdzieś to były lata 30. Dziadkowie dochowali się bardzo liczного potomstwa i w 50. rocznicę ich ślubu, w 1935 roku dzieci zorganizowały im złote gody. Na tych złotych godach było około 100 osób, w tym 42 wnuków. Później urodziły się jeszcze następne wnuki. Cała rodzina, to wówczas było przeszło 60 osób. I my tak właśnie później, sięgając do tej tradycji, uważaliśmy, że to było takie pierwsze, większe ze spotkań rodzinnych, których kontynuatorami w latach 80. właśnie staliśmy się my, już to drugie pokolenie. Oczywiście dramat II wojny światowej również dosięgnął tej rodziny. Dorastali już wnukowie. Jeden z najstarszych wnuków był pierwszym, który skończył studia weterynaryjne w Warszawie. Był w stopniu porucznika jednego z moich wujów, Hipolita. On to właśnie zginął w bitwie nad Bzurą w 1939 roku. Najmłodszy z synów walczył w Wojsku Polskim. Po wkroczeniu 17 września Rosjan wyszedł z Armią Polską i później oni zostali również zatrzymani przez Rosjan. Znalazł się w Rosji, z Armią Andersa wyszedł do Palestyny. Następnie do Włoch, walczył pod Monte Cassino w 2. Korpusie. Natomiast jeśli chodzi o rodziny na Pomorzu, bo większość mieszkała na Pomorzu, właśnie w Brodnicy, w Jabłonowie, w Wąbrzeźnie. Wszystkich ich dosięgnęły represje okupacyjne. Wszyscy byli wyrzucani z mieszkań. Groziły im wywózki. Właściwie jakieś szczęśliwe trafły spowodowały, że zabrakło transportu i nie wywieziono ich do obozów. Ale tułali się. Wysyłano część, wysyłano też na roboty do Niemiec. Moi wujkowie pracowali w Niemczech, w Prusach Wschodnich. Moje starsze siostry cioteczne również pracowały. Natomiast jeśli chodzi o dorastających kuzynów, to często, ponieważ była to ludność mieszkająca na Pomorzu, wcielano ich w 1944 roku, w 1943 do wojska niemieckiego, wtedy, kiedy brakowało żołnierzy po klęskach, jakie Hitler odnosił na wschodzie. Na ogół wszyscy oni uciekali z wojska niemieckiego i przechodzili na zachodzie do armii polskiej. Albo też jak jeden z moich kuzynów, który przeszedł do partyzantki francuskiej i walczył właśnie w partyzantce francuskiej, wrócił do Polski, niestety zachorował na dyfteryt i zmarł. Znany też jest taki epizod z życia rodziny, właśnie z okresu II wojny światowej, kiedy jeden z naszych kuzynów, również wcielony do armii niemieckiej, w sposób niezwykle brawurowy uciekł i walczył do końca wojny także w 2. Korpusie Władysława Andersa. Zakończenie wojny było dla całej rodziny przede wszystkim jakimś wielkim oczekiwaniem na powroty dzieci, synów, jak również wielką nadzieją na powrót do normalności życia po okresie okupacji. Ja jako małe dziecko, ponieważ urodziłam

się w czasie II wojny światowej, mam takie obrazy w pamięci, kiedy i mój ojciec, i moi wujowie wracali z robót, na które byli wywiezieni i wtedy gromadziła się cała rodzina, oni opowiadali swoje wrażenia. Ja zapamiętałam głównie to, że przywozili jakieś metalowe pudełka, w których znajdowały się landrynki, dzieci dostawały landrynki i po niezwykle serdecznych uściskach myśmy odchodzili, a cała rodzina jeszcze pozostawała. Natomiast to, co bardzo zapamiętałam, to był powrót mojej starszej siostry ciotecznej, ale nie z obozu niemieckiego, natomiast ona została wywieziona już po wyzwoleniu w 1945 roku wraz ze swoim ojcem. Schwytni zostali przez NKWD, wskazani przez milicję polską, przez Polaków, którzy już służyli w tej formacji i zostali wywiezieni do Rosji, do Charkowa. Chodziło o sterylizowanie ludności polskiej w momencie, kiedy nowa władza przejmowała pod zarządek Pomorze. Brano ludzi z ulicy, były takie znane przypadki, że jakiś staruszek szedł z wiadrem z wodą i jego właśnie zabierano z ulicy do transportu i wywożono do Rosji. Tam właśnie znalazła się moja kuzynka, jej ojciec. Przeszła cały koszmar tej wywózki, jak również pobytu w obozach w strasznych warunkach. Opowiadała o tych scenach, kiedy szereg osób nie wytrzymało tego, wyrzucano ciała z wagonów, a później również tę gehennę pobytu w tym obozie. Ja pamiętam właśnie jak ona wróciła i podobnie, cała rodzina się zgromadziła. Ja zobaczyłam młodą dziewczynę w łachmanach, wybie-dzoną i całą rodzinę, która wokół niej skupiła się. Ona przywiozła swoje suweniry z tej wywózki. Były to serduszka z chleba, które dawała nam, dzieciom i różańce, również ulepione z chleba, które przekazywała moim ciotkom, moim wujom. I pamiętam właśnie straszny szloch jej matki, wzruszenie, poruszenie całej rodziny. Miałam wówczas cztery lata i ten obraz towarzyszył mi później w latach szkolnych, kiedy chodziłam do szkoły podstawowej i kiedy ta ideologia komunistyczna była tak niezwykle nachalna. Próbowano nas wychować w duchu przyjać do Związku Radzieckiego. To ja jako dziecko wówczas sobie zadawałam pytanie: jak to jest możliwe, żeby ten przyjaciel nasz, Związek Radziecki, ten batiuszka Stalin, który podobno tak bardzo kochał dzieci, był przyczyną tego, że moja kuzynka znalazła się tam w Związku Radzieckim, u „przyjać” i w takim stanie wracała. Na pewno na nasze wychowanie, moje wychowanie, ogromny wpływ mieli rodzice, moi wujkowie, moje ciocie, ponieważ my często spotykaliśmy się z okazji świąt, z okazji uroczystości. I wtedy uczestniczyliśmy w rozmowach o tym, co się dzieje, o tej rzeczywistości. Może nie wszystko rozumieliśmy, ale mieli odwagę nasi rodzice mówić o tym, oczywiście zabraniając, żeby nie rozpovia-dać tego w szkole, nie mówić, bo dosięgały represje młodzież. Ja pamiętam, chodziłam do szkoły podstawowej, ale pamiętam, jak moi kuzynowie już byli w szkole średniej, im nie wolno było powiedzieć, że ich wuj walczył pod Monte Cassino, bo inaczej oni nie dostaliby się na studia. Wszyscy musieli podawać swoje robotnicze pochodzenie, choć w istocie to ono niezupełnie właśnie było takie. Także te rozmowy z nami bardzo nam pomagały w rozumieniu tej rzeczywistości. Może nie do końca, ale powodowały, iż zadawaliśmy sobie różnego rodzaju krytyczne pytania i na przykład przypominam sobie, kiedy próbowano nas, chcieli do OH, to była Organizacja Harcerska, zlikwidowano Organizację Harcerską i na siłę próbowano. Potrafiliśmy powiedzieć „nie”, co jak na dzieci świadczyło właśnie już o jakiejś pewnej świadomości, o przygotowaniu do spojrzenia na otaczającą nas tę polityczną rzeczywistość. Żyliśmy bardzo ubogo, był to okres niezwykle trudny. Pamiętam, jak mama mnie wysyłała po marmoladę, po ceres, jak to było podstawowe jedzenie, jak wszystkiego brakowało, tym bardziej, że wcześniej zmarł mój ojciec i moja matka jako wdowa nas z bratem wychowywała. I jak rodzina w sposób znów niezwykle solidarny sobie nawzajem pomagała. Tym, którym brakowało, to wtedy w sposób tak naturalny włączali się w pomoc, w cymkolwiek to było możliwe. Pamiętam moich kuzynów, którzy z powodu tego niedostatku nosili za krótkie spodnie, bo jeden po drugim te spodnie nosił, czy też buty. Pamiętam, jak tarto marchew dla tych, którzy zapadali na różnego rodzaju choroby. Też pamiętam przede wszystkim takie wsparcie, jeśli chodzi o wychowanie. Tak jak powiedziałam, moja mama była

wdową i moi wujowie, którzy uważali, że to jest ich jakimś obowiązkiem, żeby wspomóc mamę w wychowaniu, szczególnie syna. Przez cały czas obecna była bardzo silna więź rodzinna, odpowiedzialność, solidarność, co wcale nie znaczy, że naszego postępowania nie nazywano po imieniu wtedy, kiedy dochodziło do jakiejś sytuacji, które były niewłaściwe, jeśli chodzi o zachowanie dzieci, czy też dorastających moich starszych siostr ciotecznych, czy też braci. Tak jak mówiłam, była to rodzina rzemieślnicza, która... przed wojną moi wujowie stali się takimi przedsiębiorcami. Jeden z moich wujów, który miał piekarnię bardzo dobrze prosperującą w Chełmży, inwestował w budującą się Gdynię, w towarzystwa budowlane, zakupił dom. Tak że ta perspektywa była bardzo pomyślna. Wszyscy oni byli takimi bardzo światłymi rzemieślnikami, którzy różnego rodzaju nowinki potrafili wprowadzać, ale też byli ludźmi z pewną taką etyką pracy. Skąd to wiem? Ponieważ opowiadali, jak postępowali z uczniami, jak właśnie ich wprowadzono do tego zawodu. I zawsze tam właśnie były obecne pewne zasady, które oni w sposób, taki... powiedziała bym, bardzo pedagogiczny potrafili przekazywać uczniom, czy też młodym ludziom. Nasi rodzice uznali, że pewną szansą w tym systemie, ponieważ wszyscy oni stracili swoje piekarnie, zakłady rzemieślnicze w 1948 roku, wtedy, kiedy rozpoczęła się ta wojna o handel, po prostu zniszczono ich domiarami. Zaczęli pracować w państwowych rzeźniach, piekarniach „Społem”, które były wtedy wprowadzone. To był najgorszy właśnie taki okres niedostatku, 1948 do 1956 roku, takiej naprawdę biedy, którą cała rodzina odczuwała. Ale no właśnie, nasi rodzice uważali, że trzeba kształcić młode pokolenie. Przed wojną kilku już skończyło, uzyskało średnie wykształcenie, jeden tylko z kuzynów wyższe. Natomiast po wojnie to właśnie nasze drugie pokolenie, które ja kończę w tej wielkiej rodzinie, jako że właśnie moja mama była dziesiątym dzieckiem, wysyłano nas na studia, uważano, że to jest jakaś perspektywa. Dla mnie takim pozytywnym przykładem, taką motywacją, byli właśnie moi starsi bracia cioteczni, którzy przyjeżdżali czy to z Warszawy, czy to z Poznania i znów, były to wspólne spotkania młodzieży i dzieci. Niezwykle dla mnie cenne było to, że oni na przykład w prezencie przywozili mi jakąś książkę i później jak przeczytałam tę książkę, to oni ze mną rozmawiali. W ogóle to zdumiewająca też była właśnie mądrość moich wujów, którzy uzupełniali jak gdyby takie nasze kształcenie, kiedy w długie popołudnia zimowe robili nam różnego rodzaju quizy, dyktanda. Jeden z moich wujów na książeczce do nabożeństwa nauczył się łaciny, wobec tego podszkalał nas, jeśli chodzi o ten język. Myśmy rzeczywiście podejmowali studia, ukrywając to, że nasi wujowie, czy też nasi kuzyni walczyli w czasie II wojny światowej. Ten mój wujek, który właśnie walczył z Armią Andersa, przedostał się do Anglii i tam już pozostał. On nas odwiedził w 1960 roku. Ja wtedy już byłam studentką Uniwersytetu Poznańskiego, dostałam się na historię i wujek przyjechał właśnie w 1960 roku. To, co nas najbardziej zdziwiło, kiedy spotkał się z rodziną, że mówił szeptem. On bał się cokolwiek powiedzieć głośno, ponieważ taka była opinia, informacja wśród Polonii żyjącej w Anglii, że bez przerwy jest podsłuch, że trzeba uważać. Istotnie, musiał się co drugi dzień zgłaszać do milicji i meldować swój pobyt. Odprowadzaliśmy go, był kontrolowany przez ten swój dwutygodniowy pobyt. Jego przyjazd był dla nas takim wielkim świętem rodzinnym, ponieważ opowiadał nam o swoim wyjściu z Rosji, o przejściu tą drogą, jaką wyprowadzano z Rosji i przedostaniu się właśnie do Włoch, o walkach we Włoszech. A potem ten dylemat, wracać czy nie wracać... wracać do wolnego kraju, czy też do kraju okupowanego. On wybrał, że zostaje w Londynie. Z wykształcenia był cukiernikiem, zatem dość szybko założył jakąś cukierenkę i z tym wspólnikiem tę właśnie cukierenkę w Londynie prowadził. Moi krewni odwiedzali go w Londynie, kontaktowali się z nim, pozostał już na obczyźnie do końca. I to była pierwsza osoba z naszej wielkiej rodziny, która opuściła Polskę, wyjechała, pozostała na Zachodzie. Ja skończyłam Uniwersytet w Poznaniu i tuż po ukończeniu zaczęłam szukać pracy. Proponowano mi, profesor Łuczak, mój promotor mojej pracy magisterskiej, proponował mi pozostanie jako asystentki na uniwersytecie, ale był jeden

warunek, wstąpienie do PZPR. No i ja tego warunku spełnić nie chciałam. Okres moich studiów był okresem bardzo... ożywionym życiem studenckim, życiem studenckim, turystycznym, kulturalnym, różnego rodzaju dokształcaniem, kołami. Między innymi chodziłam na koło socjologów, które prowadził pan Ziółkowski, który w późniejszym okresie czasu był jednym z doradców przy prezydencie Lechu Wałęsie, bardzo zaangażowany w te przeobrażenia 1980 roku. Ale to właśnie były różnego rodzaju rajdy, obozy sportowe, a także udział w duszpasterstwie. Mój akademik znajdował się bardzo blisko kościoła dominikanów, ówczesna to była ulica Stalingradzka, obecnie Legionów, w Poznaniu, niedaleko opery. I myśmy uczestniczyli właśnie w duszpasterstwie u dominikanów. Przypominam sobie też taki właśnie epizod, kiedy spotkaliśmy się w kaplicy, odbywało się nabożeństwo i w pewnym momencie do tej kaplicy, znajdującej się po prawej stronie w kościele dominikanów, już liturgia była wprowadzona po soborze, więc ołtarz stał na środku, otoczyło nas SB, wkroczyli. Prowadzący dominikanin dokończył całą celebrę mszy świętej, potem jeszcze długo się modliliśmy i w pewnym momencie nie wiadomo było, co teraz zrobić, jak długo możemy przebywać i czekać, aż oni nas wypuszczą. Znalazło się dwóch odważnych kolegów, którzy pierwsi próbowali uciec, oni na szczęście pobiegli za nimi i części osób udało się zbiec. Było zagrożenie, że będą nas usuwać ze studiów. Nie wiem, jak to się stało, że ktoś nas wybronił i mogłam dokończyć studia. To, że byliśmy bardzo zaangażowani w życie religijne, na pewno miało ogromny wpływ na kształtowanie naszej postawy czy wybory, ale były też względy bardzo prozaiczne, że do dominikanów wchodziliśmy. Mianowicie dominikanie po rannej mszy świętej dożywiali studentów kromką chleba z margaryną i czarną kawą, a ponieważ ja właśnie nie miałam ojca, więc permanentnie braki były ogromne i to też była jedna z przyczyn, że chodziliśmy na te „siódemki”, ale poza wszystkim ten okres duszpasterstwa miał ogromny wpływ na nasze życie duchowe i kształtowanie pewnych postaw. Co wcale nie znaczy, że braliśmy udział też właśnie w życiu studenckim, różnego rodzaju manifestacjach, akcjach, zbierania liści na Sołacz, ponieważ był to taki jeszcze okres pewnej odwilży po 1956 roku, Spychalski został razem z Gomułką, też wyszedł, więc kiedy przyjechał do Poznania, to przypominam sobie takie hasło, które myśmy wznosili: „Ziem zachodnich nie oddamy, bo Spychalskiego tutaj mamy”. Tak że taka atmosfera zmiany już w tym życiu studenckim po 1956 roku była w jakimś sensie odczuwalna. Może dlatego, że Poznań ma tę swoją tradycję targów międzynarodowych i targi odbywały się każdego roku, myśmy tam zresztą znajdowali pracę, ja również pracowałam na targach, sprzedawałam parówki w Parku Wilsona, przedtem Kasprzaka, i w różnych jadłodajniach. Natomiast mieliśmy kontakt z osobami, które przyjeżdżały na targi, koleżanki z takich kierunków jak romanistyka, germanistyka, były tłumaczami i te kontakty też nam trochę otwierały, że tak powiem, okno na świat, co myślę, że powodowało, iż odczuwało się bardzo pewien taki dopływ informacji z Zachodu. Studia, po ukończeniu studiów, tak jak właśnie wspominałam, nie podjęłam tej pracy na uniwersytecie, chociaż mój brat skończył prawo i właśnie został na uniwersytecie, obecnie jest profesorem Wydziału Prawa, jeden z moich kuzynów również. Kilka osób w Poznaniu osiadło, a ja zaczęłam szukać pracy i zupełnie przypadkiem znalazłam się w Gdańsku po ukończeniu studiów. Tak że cały właśnie okres zawodowy wypada w Gdańsku. Zaczęłam szukać pracy bardzo nietypowo, po prostu, kiedy przyjechałam do Gdańska pod koniec sierpnia 1964 roku, to poszłam do ówczesnego Wydziału Oświaty i stanęłam przed panią Skórą, która wtedy była kadrową w tymże Wydziale Oświaty, z jedną walizką, bo cały mój dobytek w niej się mieści i poprosiłam ją, żeby mnie zatrudniła. Była bardzo zdziwiona tym, że w taki sposób przychodzę prosić o pracę, ale bardzo ją usilnie prosiłam, jako że miałam trudności ze znalezieniem pracy na Pomorzu, szukałam pracy w Toruniu, w Bydgoszczy, wcale nie było łatwo zatrudnić się jako nauczyciel w owym czasie, co dzisiaj może wydaje się bardzo mało prawdopodobne, ale ja objeżdżałam te miasta, chciałam właśnie wrócić na Pomorze, nie powiodło się to. I właśnie ta pani, widząc moją

determinację, prosiła, żebym zgłosiła się ewentualnie następnego dnia. Ja przyszedłam następnego dnia i wskazała mi wolne miejsce w szkole XLVI, tutaj właśnie na Przymorzu, tak że rozpoczęłam pracę w XLVI szkole. Nie bardzo chyba przygotowana pod względem takim pedagogicznym do pracy z młodzieżą, ponieważ nasze studia przygotowały nas wyraźnie do pracy badawczej, pracy na uniwersytecie, mieliśmy znakomitych profesorów, ja studiowałam w tym czasie, kiedy jeszcze wykładał znakomity sławista profesor Łowmiański, profesor Tymieniecki, obecnie żyjący profesor Labuda, Kaszub z Wejherowa, profesor Pajewski, tak że to była „szkoła poznańska”, mówiło się wówczas o „szkole poznańskiej”, jeśli chodzi o historyków. Studia wyglądały zupełnie inaczej, aniżeli dzisiaj studiuje młodzież. Myśmy mieli kontakt z naszymi profesorami, oni nie tylko mieli ogromną wiedzę, kulturę, ale także w jaki sposób oddziaływali na nas, kształtując nas. Dla mnie takim właśnie zupełnie niespotykanym gestem w stosunku do studentów był fakt, że znany w świecie profesor Tymieniecki, kiedy złożyliśmy mu życzenia, zaprosił nas do swojego domu na podwieczorek, który przygotowała jego żona i myśmy siedzieli przy stole razem z jego kolegami, znakomitymi profesorami, którzy z nami rozmawiali. To była uczta intelektualna, ale także ileż myśmy się nauczyli, jeśli chodzi o sposób bycia, kulturę rozmowy. Tak że w taki sposób nas wychowywano jeszcze jako studentów i myślę, że były to metody, które dzisiaj już nie mają miejsca ze względu na zupełnie inny charakter studiów, przede wszystkim masowość. Miałam szczęście chyba do ludzi przez całe moje życie, ale też u początku mojej pracy trafiłam na znakomitego kierownika szkoły, pana Kinickiego, który pomógł mi, młodej dziewczynie, 22-letniej, stać się nauczycielem. Bo wiedzę to pewnie miałam, ale nie byłam przygotowana do pracy z dziećmi, z młodzieżą, to właśnie pan kierownik wprowadzał mnie do każdej klasy, to on był na moich pierwszych godzinach wychowawczych, to on mówił do mnie: „Małgosia, jak będziesz miała jakiś problem, od razu przyjdź do mnie, rozwiążemy go”. Także grono pedagogiczne, które potrafiło zintegrować młodych nauczycieli. Ze mną przyszły też inne koleżanki, więc miały podobne problemy, podobne trudności i w jakiś to niezwykły sposób właśnie starsze koleżanki dzieliły się swoją wiedzą, swoim doświadczeniem, pomagały nam, także nawet w takich sprawach życiowych, wtedy, kiedy zakładaliśmy rodziny. Była czasami to taka pomoc nawet bardzo praktyczna i to właśnie zawsze bardzo podkreślam, kiedy wspominam początki swojej pracy, że w szkole XLVI stałam się nauczycielem. Z tamtej właśnie, ze szkoły XLVI zaproponowano mi przejście do V Liceum. W trakcie roku szkolnego brakło nauczyciela w liceum i zaproponowano mi przeniesienie do liceum. Poprzednio szukałam pracy w liceum, ale nie było miejsca, natomiast później tak się jakoś to szczęśliwie złożyło i przez okres 20 lat pracowałam jako nauczyciel historii, wychowania obywatelskiego, WOS-u, to się przeróżnie nazywało, którego uczyć nie chciałam, ale do którego byłam przymuszona, żeby go wykładać. Oczywiście musiałam skończyć dyplomowe studia marksistowsko-leninowskie, bo to był warunek: albo pozostać w szkole, albo stracę pracę. Mam też taki dyplom ukończenia tego kursu. Wspominam to jako li tylko indoktrynację, ideologizację, żadnej wiedzy, żadnego jakiegoś konkretnego, rzetelnego przygotowania. Okres mojej pracy w liceum wspominam jako bardzo intensywny w sensie pracy z młodzieżą. Zostałam rzucona też od razu na głęboką wodę, bo otrzymałam drugą klasę, w której było 42 uczniów, większość chłopców, była to pierwsza klasa matematyczna, w której część młodzieży nie chciała się znaleźć, bo byli humanistami, wobec tego ciągle mieli pretensje, że tam się w tej klasie znaleźli. Kazali mi pisać petycję do ministra, że to jest takie odgórne zarządzenie i oni się z tym nie zgadzają, a przede wszystkim bardzo dużo wymagali od nauczyciela. To właśnie oni nam stawiali pytania, nie my im. Często były to pytania bardzo trudne, ale praca z tą młodzieżą dawała ogromną satysfakcję. Co nie znaczy, że trudno się pracowało ze względu właśnie na naciski ideologiczne. Ja doświadczyłam tego, że przymuszano mnie do wstąpienia do organizacji partyjnej. Koleżanka, która była pierwszym sekretarzem przez dwa lata właściwie nie ustępowała w przekonywaniu mnie, że po-

winnam wstąpić, przymuszaniu do wygłaszania referatów na spotkaniach Rady Pedagogicznej, zastraszaniu, że jeśli nie wstąpię, to niestety nie będę mogła być historykiem w takim dobrym liceum, jakim jest V Liceum. Natomiast praca z młodzieżą w bardzo licznych klasach, bo rzeczywiście te klasy sięgały wtedy 40 uczniów, dawała ogromną satysfakcję ze względu na chęć tej młodzieży do zdobycia wiedzy. Coraz lepiej pracowało się pod koniec lat 70., kiedy już zaczęły dokonywać się pewne zmiany. Był to okres, w którym bardzo dobrze się z młodzieżą pracowało. Takim potwierdzeniem tego są uroczystości, które organizowaliśmy. Ta młodzież była chętna do przygotowywania różnego rodzaju sesji, uroczystości. Między innymi przygotowaliśmy taką sesję poświęconą Komisji Edukacji Narodowej, która nie tylko, że była prezentowana w auli V Liceum, ale nawet dla społeczności oliwskiej w Pałacu Opatów. Udostępniono nam tę piękną Białą Salę i ta młodzież również tę sesję przeprowadziła, jak również rocznicowe uroczystości kopernikańskie. To również taki spektakl o charakterze bardziej takim naukowym, przygotowaliśmy również z tą młodzieżą. Jeśli chodzi o uroczystości państwowe, to zawsze był wielki problem z obchodami 1 Maja. Uczniowie klas, w których byłam wychowawczynią, już w owych latach, w okresie gierkowskim, buntowali się przeciwko uczestnictwu w pochodach pierwszomajowych. Argumenty mieli przeróżne: że to jest święto, że to właśnie świętują robotnicy, a oni nie należą do tego środowiska. To, że młodzież nie chciała uczestniczyć w pochodach pierwszomajowych, było jeszcze jednym z argumentów przeciwko mojej pracy wychowawczej. Ten okres czasu odczuwałam jako bardzo silne naciski ze strony dyrekcji, czy też przede wszystkim pierwszego sekretarza organizacji partyjnej, który odgrywał w szkole o wiele większą rolę, aniżeli dyrektor, że nie potrafię wychowywać we właściwym duchu młodzieży, że jestem nieudolnym właśnie wychowawcą. Przyznam, że ta presja, pozbawianie mnie nagród, czasami nawet też w ten sposób próbowano uświadomić mi, że jestem nie takim nauczycielem, jak by oczekiwano, dawano mi najtrudniejsze klasy. I było to dotkliwe. Ale również traktowanie nas jako nauczycieli w tamtym czasie przez inne środowiska było także bardzo przykre, ponieważ często w swoich takich środowiskach przyjacielskich nauczyciel był traktowany jako nieudacznik, który już nic innego nie może robić, tylko jest nauczycielem. A wiadomo, że był to okres gierkowski, gdzie kombinowano na różne sposoby, na różnych stanowiskach. Taka trochę to była prosperita dla tych, którzy potrafili się jakoś urządzić i traktowanie właśnie nauczycieli odczuwaliśmy jako taką gorszą grupę. Zresztą tak też było, jeśli chodzi o zarobki nauczycieli, które zawsze oczywiście były niższe, aniżeli naszych uczniów, którzy często kończyli szkoły zasadnicze. Ale nie to było najistotniejsze. Te dwie rzeczy. W tamtym okresie czasu odbierałam dość boleśnie i nawet nosiłam się z zamiarem opuszczenia szkoły. Nie wytrzymywałam głównie właśnie tej takiej presji ideologicznej, tego nacisku, przymuszania, które miałam przenosić na pracę wychowawczą. Pewnym przełomem był fakt wyboru kardynała Wojtyły na papieża. Z kardynałem Wojtyłą zetknęłam się po raz pierwszy będąc właśnie studentką, kiedy przyjechał na rekolekcje do Poznania. Potem znałam go jako autora pozycji „Miłość i odpowiedzialność”, którą właśnie w środowisku naszym czytaliśmy, dyskutowaliśmy o tym. Oczywiście sam wybór przyjął z wielką radością. Tutaj, nie wiem, może jakaś intuicja podpowiadała mi, że jest to możliwe. Znałam też publikację „Tygodnika Powszechnego”, do których kardynał Wojtyła wtedy pisał. Kiedy odbywało się konklawe, to akurat w moim domu znajdował się mój kolega szkolny, ksiądz Jerzy Kownacki, który także jest absolwentem wąbrzeskiego liceum. I wówczas, kilka minut przed godziną 19:00, bo to gdzieś koło godziny 19:00 zostało ogłoszone, właśnie mówię do niego, on studiował we Włoszech, znał te realia i właśnie mówię do niego: „Słuchaj Jerzy, nie uważasz, że wreszcie ktoś ze Wschodu mógłby zostać wybrany na papieża?”. On mówi: „To jest wykluczone. Jest to tradycja włoska. A poza tym kto?”. Ja mówię: „Prymas Wyszyński”. Wiek byłby tutaj jakąś przeszkodą. Ja mówię: „A kardynał Wojtyła?”. Mówi: „Nie, to jest po prostu niemożliwe”. Po czym po chwili włączamy dziennik i się okazuje „habemus papam”,

Karol Wojtyła zostaje papieżem. Bardzo dobrze pamiętam pierwszą pielgrzymkę 1969 [1979] roku do Polski, kiedy to była taka propaganda, żeby nie udawać się na spotkania z papieżem, bo będzie bardzo niebezpiecznie, bo będą trutować, bo nie dojedzie się. Ja właśnie bardzo chciałam pojechać na to spotkanie i mojego kolegę, właśnie księdza Jerzego, namówiłam, żebyśmy jednak pojechali, żebyśmy pojechali do Gniezna. I on zgodził się na to. Umówiliśmy się w Kościerzynie, bo ja wtedy spędzałam z rodziną czas na Kaszubach i pojechaliśmy na spotkanie do Gniezna. To było to spotkanie z młodzieżą po południu, po mszy świętej w katedrze gnieźnieńskiej, które właśnie miało taki charakter spotkania jak gdyby przy ognisku, bo słońce zachodziło, a papież co chwilę intonował pieśni i ciągnął nie tylko pierwszą, ale drugą i trzecią zwrotkę, co już nawet tłum nie potrafił mu dorównać, a prymas Wyszyński ściągał go z balkonu, a on jeszcze z nami rozmawiał i to spotkanie ciągnęło się, ciągnęło.

Antoni Lech Kujawski: Ale jak to się miało właśnie do przeniesienia tego do mojej pracy wychowawczej?

Małgorzata Szwejkowska: Ja wróciłam z tego spotkania, jechaliśmy nocą, przyjechałam taka zmęczona, przysłałam do szkoły i młodzież wszystko od razu potrafi podpatrzyć, poczytać i mówić: „Ależ pani jest dzisiaj zmęczona”. A ja mówię: „No tak, wróciłam właśnie ze spotkania z papieżem”. „To proszę nam coś powiedzieć”. I ja im relacjonowałam to spotkanie z papieżem. Ta klasa, na przerwie zrobił się jakiś szum, po przerwie przekazano to już następnej klasie, że właśnie byłam na spotkaniu z papieżem i tak musiałam relacjonować tę młodzież w tych klasach, w których uczyłam, to spotkanie z papieżem. Zdumiona byłam ich właśnie chęcią wysłuchania tego o tym spotkaniu. To trochę później przybrało właściwie taką szerszą płaszczyznę. Sama pielgrzymka była dla mnie też w jakimś sensie takim umocnieniem, jeśli chodzi o pewne trwanie w szkole, to, co papież szczególnie mówił na Placu Zwycięstwa. No niedługo było czekać, kiedy nastąpił rok 1980, który przyniósł te wydarzenia, które właśnie w tych dniach, pamiętkę tych wydarzeń obchodzimy. Jeśli chodzi o rok 1980, o sierpień 1980 roku, to wiadomość o strajku dotarły do mnie i do mojej rodziny, też na wakacjach, bo to był sierpień. Ale kiedy wróciłam do Gdańska na Przymorze, bo tutaj właśnie mieszkalam, to okazało się, że mój sąsiad, stoczniowiec, właśnie jest w stoczni, strajkuje, to on leży na styropianie. Mój sąsiad był niezwykle mądrym, szlachetnym człowiekiem, z którym przedtem już wiele rozmawialiśmy o sytuacji. I on pracował w stolarni właśnie od samego początku, pozostał w stoczni i strajkował. Tak że pierwszy taki kontakt to właśnie był tego typu, że z moją sąsiadką przygotowywaliśmy posiłki i z dziećmi dowoziliśmy pod bramy, żeby w ten sposób wyrazić nasze wsparcie i naszą jakąś gotowość pomocy. Ja tylko mogę powtórzyć to, co wszyscy mówią, jaka to była atmosfera, jakie to było uniesienie, jaka to była życzliwość międzyludzka, jak to przeżywaliśmy, stojąc właśnie pod stoczną. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że już delegacja nauczycieli 27 sierpnia wybrała się do międzyzakładowego komitetu i zgłosiła jak gdyby swoją taką deklarację poparcia i uczestniczenia. 29 sierpnia już złożyli taką propozycję programową tego, na co należałoby zwrócić uwagę, jeśli chodzi o oświatę, o szkołę. Głównie tu chodziło o status nauczyciela, ten materialny, bo on był szalenie dotkliwy, ale także o kwestie ideologiczne...